

KOMANDO INDUSTRIEHOF

Jeszcze w czasie kwarantanny przypadek zetknął mnie ze starym więźniem Gross-Rosen i to zadecydowało o moim dalszym losie i pobycie w tym obozie.

Pewnego dnia od strony bloku numer 7 podszedł do drutów jakiś więzień. W tym momencie akurat znajdowałem się również przy drutach. Wydawał mi się skądś znajomy. Od razu zaczął rozmawiać ze mną na tematy sportowe, konkretnie o piłce nożnej. Opowiadał, że mają w obozie kilka drużyn, że jedna z nich występuje pod nazwą "Polska", i że wolno im grać w piłkę w niedziele po południu. Powiedział, że on właśnie gra w drużynie "Polska" i spytał, czy wśród nas nie ma jakiegoś piłkarza. Kiedy na moje pytanie odpowiedział, że nazywa się Zygmunt Stolarski - wiedziałem już o nim wszystko. Ucieszony tym spotkaniem pochwaliłem się, że znam go trochę - wiem, że pochodzi z Łodzi, że grał w ŁKS-ie, że graliśmy już przeciwko sobie, że jestem ze Lwowa i grałem tam w "Pogoni". Przedstawiłem mu się i przypomniałem, że grałem wówczas pod nazwiskiem Bereza. Zygmunt był zaskoczony moimi słowami. Ogromnie się ucieszył z naszego spotkania i obiecał, że natychmiast poczyni starania, aby wyciągnąć mnie z tych drutów. Jeszcze tego samego dnia odwiedził nasz blok z drugim więźniem, który nazywał się Ali Książkiewicz, był blokowym na piątym bloku i zapalonym piłkarzem. Obydwaj udali się do naszego blokowego Lehmana, a po wyjściu od niego powiedzieli mi, że przyjdą po mnie w niedzielę.

Zanim nadeszła wyczekiwana przeze mnie niedziela, życie na "zadrutowanym", dziewiątym bloku toczyło się bez zmian. Wyszukane ćwiczenia "sportowe" naszego "Iwana Groźnego" odbierały zupełnie ochotę do życia. Już większa część naszego transportu osobiście doświadczyła "rollen" - przewrotów przez głowę - oraz brutalnych kijów bandyty-więźnia.

Jednego dnia blokowy Lehman przechodził powoli wzdłuż szeregów ustawionego po apelu porannym bloku, byстрым wzrokiem lustrował twarze więźniów i skinieniem palca wybierając niektórych, kazał ustawiać się przed blokiem. Wszyscy byliśmy zaniepokojeni - nie znając celu tej "wybiórki" myśleliśmy o najgorszym. W liczbie wybranych więźniów znalazłem się i ja. Podzielono nas na dwie grupy i wprowadzono do izby "jadalnej". Blokowi oświadczył nam, że od dnia dzisiejszego te dwie grupy będą jadły posiłki na bloku, siedząc przy stołach. W izbie były dwa rzędy stołów i jeden z nich został przydzielony mojej grupie. "Stołowym" naszej grupy został Krzysztof Radziwiłł. To wyróżnienie pociągało za sobą dodatkową pracę "wzorcowych" więźniów: musieliśmy czyścić stoły i stołki, które z polecenia blokowego miały zawsze wyglądać jak nowe. Do tego stanu doprowadziliśmy je, i to z doskonałym wynikiem, przez szlifowanie szklistym papierem stolarskim.

Nastąpiła wreszcie oczekiwana z niecierpliwością niedziela.

Na zadrutowany blok przyszedł osobiście Ali Książkiewicz i "wypożyczył" mnie na kilka godzin od blokowego Lehmana. Razem udaliśmy się na blok piąty, gdzie sprawował obowiązki blokowego i tu po raz pierwszy zetknąłem się z więźniami tutejszego obozu, głównie z tymi, co grali w drużynie "Polska". Okazało się, że na próbę zagram w ich drużynie. Mecz rozegraliśmy na starym placu apelowym, który utkwiał mi w pamięci przez całodzienny i pełny szykan postój w dniu naszego przyjazdu z Majdanka. Bramki piłkarskie zostały przyniesione i osadzone w specjalnie do tego celu zrobionych otworach. Trudno mi dzisiaj opisać to, co przeżywałem w czasie tego meczu; jedno było pewne - byłem zupełnie nieprzygotowany do piłkarskich rozgrywek. Po pierwsze, od kilku lat w ogóle nie byłem na żadnym boisku sportowym i nie brałem udziału w życiu sportowym; po drugie, byłem po chorobie tyfusowej i ciężkiej opuchlinie nóg - stan mojego organizmu i forma fizyczna nie dawały mi żadnych szans powrotu do sportu. W tym meczu zagrała jednak moja ogromna ambicja i ku radości drużyny - mój debiut wypadł bardzo udanie. Po meczu poszliśmy wszyscy na piąty blok, gdzie dostałem miskę zupy i chleb, jako nagrodę za wysiłek włożony w zawody. Po tej niespodziewanej kolacji zostałem odprowadzony na mój blok. Musiałem tu natychmiast podzielić się doznanymi wrażeniami z oczekującymi mojego powrotu kolegami. Ks. Janek Przytocki, który był wielkim zwolennikiem gry w piłkę nożną, nie mógł wyjść z podziwu, że wytrzymałem fizycznie cały mecz.

Tymczasem na piątym bloku radzono, w jaki sposób wyciągnąć mnie z drutów bloku dziewiątego. Nasza kwarantanna zbliżała się ku końcowi. Dzięki wpływom obozowym blokowych Książkiewicza i Morgały z bloku siódmego, którzy zwerbowali do pomocy kapo rewiru Prilla /tak się nazywał, jeśli dobrze pamiętam/, zostałem umieszczony na bloku szpitalnym jako chory. Tam na bloku rewirowym doznałem przykrego ciosu. Otóż po zakończeniu kwarantanny cały transport z Majdanka został wysłany do obozu koncentracyjnego w Litomierzycach. Wszyscy myśleliśmy, że zostanie już w Gross-Rosen, było to więc dla nas wielkim zaskoczeniem. Ta wiadomość załamała mnie: zostałem zupełnie sam, pozbawiony wypróbowanych, wspaniałych kolegów. Wkrótce spotkało mnie drugie niepowodzenie: zostałem wypisany z rewiru i włączony do jakiegoś transportu, mającego odejść następnego dnia. Kazano nam przyszywać numery do nowo otrzymanych ubrań obozowych. Samopoczucie miałem fatalne i nurtowały mnie okropne myśli. Ciągłe myślałem o utraconych przyjaciółach i o złośliwym losie, który zadrdził ze mnie - nie wiedziałem nawet dokąd idzie mój transport. O moich nowych znajomych z drużyny "Polska" nawet nie myślałem, sądziłem, że zapomnieli o mnie, albo nie mieli wpływu na zmianę mojego losu.

Spokojne przyszywanie numerów zostało brutalnie przerwane przez kapo rewiru. Wpadł między więźniów, bił, kopał i przeklinał, rozpędzając ustawione szeregi. W pewnym momencie dostrzegł mnie i widocznie poznał we mnie piłkarza. Zatrzymał się, przestał krzyczeć, bez słowa odwrócił się i poszedł między baraki. Po chwili przyszedł z blokowym Morgałą, wskazał na mnie i wrzasnął: "Masz tu swojego piłkarza"!

Blokowy popatrzył na mnie ze zdziwieniem, ale nic nie powiedział i odszedł. Teraz było mi już wszystko jedno, pogodzi-

łem się z losem i transportem. Jednak było mi przeznaczone pozostać w obozie. Po jakimś czasie przyszli blokowi Książkiewicz i Morgała, zabrali mnie do kancelarii obozowej, załatwili przydział do pracy w obozowej stolarni i skierowanie na blok numer 5. Tak więc zostałem wycofany z transportu i zacząłem normalny żywot więźnia w obozie koncentracyjnym Gross-Rosen, z przydziałem do komanda Industriehof, w nowym zawodzie - stolarza.

W obozowej stolarni, która była małym komandem, pracowało już kilku więźniów grających w drużynę piłki nożnej "Polska". Więźniem dowodzącym komandem był Zdzich Lewandowski, zacny człowiek o gołębim sercu. Był on również kapitanem drużyny. Pracowali tu jeszcze: Jerzy Luda, który był zastępcą Lewandowskiego, "Elza" - Kazik Jurewicz, ja i nie związani z drużyną: Edek Jarosiński oraz wysoki Jugosłowianin i pochodzący ze Śląska "Froncek", których nazwisk niestety już nie pamiętam.

Wspaniałym kolegą okazał się starszy ode mnie Froncek, bardzo dobry fachowiec; pracowaliśmy razem jako osobny zespół /załoga/ i wiele nauczyłem się od niego.

Barak stolarni podzielony był na dwie bardzo duże, przechodnie izby. W pierwszej, z drzwiami na zewnątrz, pracowałem wspólnie z Fronkiem. W drugiej pracowali pozostali, i do ich pracowni wchodziło się z naszej izby. W warsztacie czuliśmy się dobrze, panowały tu stosunki koleżeńskie. Każdy z nas miał ukryty w warsztacie schowek z zapasowymi częściami garderoby i bielizny. Przed nadejściem niedzieli urządzaliśmy generalne pranie bielizny, a nawet - tylko stolarzom znanym sposobem - prasowaliśmy spodnie na podgrzewanym, żelaznym stole stolarskim. W tym miejscu muszę podkreślić fakt, nie mogący zaistnieć w innym obozie, mianowicie - w czasie mojego pobytu w Gross-Rosen nie znalazłem na sobie ani jednej wszy! Wszyscy tu dbali o czystość osobistą i starali się być czysto ubrani. Duży wpływ na to miały urządzenia sanitarne na blokach, przede wszystkim umywalnie z bieżącą wodą, która na Majdanku była dobrodziejstwem przyznawanym nam dopiero przed samym wyjazdem.

W warsztacie wykonywaliśmy różne przedmioty sztuki stolarskiej, jak: drzwi, ramy okienne, skrzynie itp. Froncek ze mną - byłem jego pojętnym uczniem - zrobił dwa kompletne wzory do zaprzęgu konnego.

Bauleiter, ordynarny esesman, był tutaj panem życia i śmierci. Od niego Zdzich Lewandowski otrzymywał zamówienia na wszystkie roboty wykonywane w warsztacie. Przed Bauleiterem musieliśmy wszyscy mieć się na baczności. Stale usiłował zaskoczyć nas w czasie pracy; wpadał z krzykiem, węsząc za jakąś "lewą" robotą i mimo negatywnych wyników rewizji, bił nas kijem i nagle wypadał jak szalony, by zrobić to samo w sąsiednim warsztacie kowalskim. Przed tym draniem mieliśmy respekt wszyscy, choć mimo różnych "lewych" robót nigdy nas nie zaskoczył. Po prostu zorganizowaliśmy stałe dyżury: jeden z nas wtedy nic nie robił, tylko bacznie obserwował przez okno drogą przed barakiem i jak tylko zauważył jakieś grożące wszystkim niebezpieczeństwo, natychmiast nas ostrzegał.

Największym spryciarzem był "Elza". W kącie przy moim warsztacie poustawiał pionowo przeróżne deski i belki i w samym rogu urządził sobie legowisko, gdzie większą część dnia przesypiał. Wiele razy musieliśmy go budzić przed wymarszem do obozu. Komando Industriehof znajdowało się bowiem poza obozem miesz-

kalnym. Wychodząc do pracy ustawialiśmy się na głównej drodze obozowej, która prowadziła nas przez granitową bramę poza obręb obozu, do warsztatów. Przy bramie następowało liczenie stanu osobowego komanda i w czasie mijania jej należało obowiązkowo "przybić" krok, mocno uderzając butami o twardą nawierzchnię. Droga wybrukowana była granitową kostką i takie "przybijanie" powodowało silny ból w nogach. Śmiertelne poty zlewały mnie z bólu w chwili przekraczania tej bramy, w okresie, gdy na nodze utworzył mi się duży karbunkuł.

Od wielu tygodni cały obóz żył jedną sprawą - zapowiedzianym meczem piłkarskim Niemcy - Polska. Wszystkie nieszczęścia naszego codziennego życia zeszyły na plan dalszy. Oczywiście, władze obozowe zezwalały na granie w piłkę tylko raz w tygodniu - w niedzielę po pracy; o żadnych treningach nie było mowy, pracowaliśmy dwa razy dziennie.

Wreszcie nadszedł ustalony dzień meczu. W obozie wrzało jak w ulu, wszyscy mówili tylko o tym. Już nie chodziło o ambicje sportowe, na pierwszy plan wysunął się aspekt polityczny. Z wynikiem tego meczu zaczęto wiązać przepowiednie co do naszej przyszłości w katordzie obozowej. Wszyscy bez wyjątku więźniowie Polacy stawiali sprawę prosto: "Wygracie z Niemcami - to znak, że przeżyjemy obóz; przegracie - to koniec z nami". Ogromnie obciążało to nas psychicznie, pragnęliśmy wygrać - jak wszyscy polscy więźniowie, ale do nas należało jeszcze dokonanie tej sztuki. Nie było to łatwe. Szanse były znikome. Przeciwnicy nasi, Niemcy, wystawili drużynę składającą się głównie z kapo i obozowych prominentów: silnych, wypoczętych i dobrze odżywionych.

Naszą szatnią był blok piąty. Tu ubraliśmy się w nasze piłkarskie stroje, sporządzone w obozie. Razem udaliśmy się na nowy plac apelowy, który w niedzielę był również boiskiem piłkarskim. /Cały plac wysypany był drobnym żwirem granitowym; co oznaczało, że każdy upadek może spowodować dotkliwą kontuzję rąk, nóg, czy całego tułowia/. W drodze towarzyszył nam doping więźniów wszystkich narodowości, a najgorętszy - Polaków.

Na plac apelowy, czyli "boisko", wybiegaliśmy w następującym składzie:

Kazimierz /Elza/ Jurowicz	
stolarz	
Czesław /Bereza/ Skoraczyński	Ali Książkiewicz
stolarz	blokowy piątego bloku
Czesław Morus, Stefan Grzechowiak	Józef Kozłowski
tkacz	szewc
Jan Dudziński - Zygmunt Stolarski	Zdzisław Lewandowski
kucharz	tkacz
Marian Storc	Władysław Kidacki
blokowy szóstego	hydraulik
bloku młodocianych	

W skład drużyny polskiej wchodził również: Kazimierz Burchacki, Jerzy Luda, Potempa, Ryszard Hibner, Zbigniew Zbyszewski, Jerzy Kowalewski, Władysław Lechowicz i - po przyjeździe transportu z powstania warszawskiego - Jerzy Łysakowski.

W dniu meczu, w godzinach przedpołudniowej pracy, Zdzich

Lewandowski wytoczył na tokarce bardzo udany, okazały puchar z drzewa, który następnie koledzy z kuźni ozdobili cienką blaszką. Wracając na obiad udało się nam "przeszybować" go zgrabnie przez bramę.

Cała świta naszych oprawców, z SS Lagerführerem SS-Hauptsturmführerem Ernsbergerem na czele, przyszła oglądać ten mecz. Zasiedli przy bocznej linii "boiska", od strony głównej ulicy obozowej, na stołkach przyniesionych z bloków. Esesmani grali w piłkę i mieli własne boisko poza obozem, a sam Lagerführer był podobno niezłym piłkarzem.

Przed zawodami, gdy obydwie drużyny były przygotowywane do gry, Zdzich Lewandowski, kapitan zespołu polskiego, wręczył puchar kapitanowi drużyny niemieckiej. Ten gest wywołał burzę oklasków wśród wszystkich kibiców-więźniów.

Trudno mi dzisiaj, z odległości tylu lat, opisać przebieg zawodów. Tupetowi i sile fizycznej naszych niemieckich przeciwników przeciwstawił się niesłychaną ambicję, spokój, technikę, a założenia taktyczne też nie były nam obce - kilku z nas było kiedyś zawodnikami drużyn ligowych. Ostatecznie te historyczne, rozegrane w warunkach obozowych zawody wygraliśmy 0:1; bramkę strzelił Lewandowski.

Niesamowita radość więźniów, wielka sensacja w obozie!

Zemsta za tę tryumfalną radość miała nas osiągnąć jeszcze tego samego dnia w godzinach wieczornych, ale o tym dopiero mieliśmy się dowiedzieć później.

Po skończonym meczu poszliśmy razem z drużyną niemiecką do łaźni, a po przebraniu się zostaliśmy przez Niemców zaproszeni do kantyny na kubek słodowego piwa.

Niejedynym z czytelników mógłby w tym miejscu - nie bez aluzji - powątpiewać w nasze wyniszczenie fizyczne: - "Nie było z nimi tak źle, jeśli mieli jeszcze siłę grać w piłkę". Przyznam, że nikt z nas i dziś nie jest w stanie odpowiedzieć, skąd wzięliśmy siłę, aby rozegrać te zawody. Jedno można stwierdzić na pewno - zwycięstwo nasze dodało otuchy tym wszystkim, którym zaczynało jej brakować. A wnioskując z licznych wróżb - typu: jeśli "nasi" wygrają, to przeżyjemy wszystkie obozy koncentracyjne, choćby ich jeszcze kilka przyszło nam odcierpieć - nadzieja zaświtała tysiącom więźniów, nie tylko narodowości polskiej. My, bohaterowie tego spotkania piłkarskiego, byliśmy nieludzko zmęczeni, każda część wychudzonego ciała bolała okrutnie, piekły potłuczone i poranione kolana i łokcie, z trudnem poruszaliśmy się - granitowa nawierzchnia "boiska" zebrała obfite żniwo - byliśmy jednak bardzo szczęśliwi.

Po wypiciu postawionego przez przeciwników piwa, wróciliśmy na bloki. Janek Dudziński, który pracował w kuchni, powiedział, że po kolacji na bloku przyszedł do niego, na dwudziesty blok, to przyniesie coś dodatkowego do jedzenia. Miałem wyjątkowo dobry dzień, bo i druga kolacja w perspektywie! Po przyjęciu wielu gratulacji i wyrazów sympatii na naszym bloku i po zjedzeniu kolacji, poszedłem do Janka. Dotrzymał słowa, oprócz chleba z margaryną, była też zupa z obiadu. Ale wypoczynek wieczorny został brutalnie zakłócony przez zorganizowany napad załogi esesmańskiej obozu.

Niespodziewanie wpadli na blok i błyskawicznie obsadzili obydwie sztuby oraz jedyne wyjście na zewnątrz. Wtedy kilku z

nich wpadło na pierwszą sztubę i zaczęli z pasją tłuc kijami znajdujących się tam więźniów, masakrując zaskoczonych i niezdolnych do ucieczki. Masakrowaną masę ludzką pędzili przez bardzo wąskie drzwi sztuby na mały korytarz, a następnie na drugą sztubę. Mieli nas tutaj jak w matni. Paru oprawców pozostało w przedsionku, a reszta weszła za nami na sztubę. Zaczęła się masakra od początku. Był to odwet za wygrane przez Polskę zawody i nasi oprawcy już się z tym nie kryli, wypowiadając głośno swoje zdanie na temat meczu.

Po chwili znowu zaczęli nas przeganiać z powrotem na pierwszą sztubę. Przerażeni, skłębieni w zbitą masę, nie mogliśmy zmieścić się w tym "tunelu", zwłaszcza że do akcji wkroczyli esesmani okupujący drzwi wejściowe na blok, a z tyłu pędzili nas kaci ze sztuby. Następował istny koniec świata.

Zaczęli padać pierwsi więźniowie, padających tratowali inni. Kompletnie wyczerpani, zupełnie pozbawiony sił i półprzytomny, zostałem wepchnięty przez napierających kolegów do sztuby.

Esesmanów tu jeszcze nie było; błyskawicznie otworzyłem drzwi do sali sypialnej, wpadłem do środka i przez pierwsze otwarte okno wyskoczyłem szczupakiem na zewnątrz bloku. Na moje szczęście nie było to okno frontowe, lecz wychodzące na tyły. Za blokiem nikogo - byłem ocalony. Szybko pozbierałem się i nadludzkim wysiłkiem dobiegłem na swój blok, gdzie zaskoczyłem wszystkich opowieścią o masakrze więźniów dwudziestego bloku.

W kilka tygodni później, w czasie rozgrywania jakiegoś meczu, co zwykle gromadziło prawie wszystkich więźniów, byliśmy świadkami desperackiego kroku jednego z nas. Więzień ten, na oczach całego obozu, spokojnie przełaził przez wysokie druty ogrodzenia, tuż przy samej głównej bramie obozowej, nazywanej "bramą granitową". /brama ta stoi do dzisiaj/. Strażnik-esesman, mający służbę na wieży, serią z broni maszynowej położył trupem nieszczęśnika. Zabity nie spadł na ziemię, lecz zawisł bezwładnie na drutach. Było to dość typowe samobójstwo. W każdym niemal obozie były wypadki, że więźniowie - wykończeni nerwowo - szli po prostu na druty, prowokując strażę do strzelania.

Pewnego dnia, w czasie przerwy obiadowej, zobaczyłem mały oddział nowo przybyłych więźniów, siedzących w kucki na bocznej drodze, niedaleko naszego baraku. Podszedłem bliżej, by popatrzeć, czy nie ma kogoś znajomego - zwykle tak robiliśmy - i spotkałem kolegę z VII gimnazjum ze Lwowa, Tunka Dzeduszyckiego, twórcę naszej uczniowskiej rewii i dobrego sportowca. Tunek wylądował w komandzie Bekleidungskammer, a poza godzinami normalnej pracy dorabiał sobie śpiewem.

Tuż przy naszym bloku znajdował się duży zbiornik z wodą, mający służyć swoim zasobem na wypadek pożaru w obozie. Kształtem przypominał niewielki basen kąpielowy. Mimo, że woda była bardzo brudna, korzystaliśmy z niego czasem w niedzielne popołudnie i pławiliśmy się, przypominając sobie sztukę pływania.

Kiedys rano, zaraz po pobudce, zostaliśmy zaalarmowani wiadomością, że w basenie pływa trup. Wyskoczyliśmy z bloku i pobiegliśmy nad basen. Było tu już dużo więźniów z innych bloków. Ciało, z zanurzoną w wodzie twarzą, z szeroko rozrzuconymi ramionami, przypominało wielką żabę. Topielec był w ubraniu. Na lewej ręce widać było zegarek. Bez trudu poznaliśmy topielca - był to Lagerältester Kaiser. Początkowo myśleliśmy, że mu-

siał w pijackim zamroczeniu wpaść do wody i utopić się. Ale sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej.

Zbiegli się esesmani i kazali wyciągnąć go z wody. Jak wykazały dokonane przez esesmanów oględziny zwłok, denat był mocno pobity i poraniony nożem, i to było przyczyną jego śmierci, a wrzucenie do wody miało upozorować samobójstwo i zatuszować zbrodnię. Albo mordercy byli bardzo naiwni, albo im się spieszyło z pozbyciem się zwłok.

Równocześnie gruchnęła po całym obozie wieść, że zbrodni tej dokonali więźniowie narodowości polskiej. Spowodowało to natychmiastowe bandyckie represje w stosunku do nas ze strony esesmanów i funkcyjnych więźniów narodowości niemieckiej.

W stolarni nikt nie mógł znaleźć sobie miejsca, każdy na swój sposób komentował ten wypadek, każdy przewidywał inny epilog tej sprawy. Co do jednego byliśmy wszyscy zgodni - nie mógł tego dokonać więzień Polak. Stan tej mrocznej niepewności trwał prawie godzinę, gdy nagle, jakimiś niewiadomymi drogami, dotarła do nas wiadomość, że sprawcy morderstwa są już schwytani i okazali się nimi niemieccy kapo, koledzy zamordowanego.

Jak doszło do wykrycia tej sprawy? W centrum obozu stał barak, w którym pracowało komando dla zakładów Siemens, a w nim nasz kolega z więzienia gestapo we Lwowie i z Majdanka, Marian Wzorek. Otóż Wzorek, zaraz po przyjeździe komanda na blok Siemens, poszedł do ustępu. Po wejściu do środka - stanął jak wryty, bowiem ściany ustępu były obficie zbroczone krwią. Przestraszony widokiem krwi chciał się natychmiast wycofać, ale wówczas z ukrycia wyskoczył kapo jego komanda, niejaki Reis. Trzymanym w ręce kijem zaczął masakrować Wzorka, specjalnie starając się trafić go w głowę. Wzorek nie był ułomkiem, jakoś udało mu się wyswobodzić i przeraźliwie krzycząc uciekał w stronę Schreibstuby. Zatrzymany przez esesmanów i doprowadzony do Schreibstuby opowiedział przy pomocy tłumacza wszystko, co spotkało go na bloku Siemens. Kilku esesmanów zaraz pobiegło na wskazany blok, gdzie po kilku zaledwie uderzeniach kapo Reis przyznał się do winy, wydając również wszystkich współników zbrodni. Było ich - jeśli się nie mylę - aż pięciu: sami kapo narodowości niemieckiej. Umieszczono ich na bloku dziewiętnastym - karnym, a ścisłą "opiekę" nad nimi powierzono blokowemu Voglowi, zawodowemu przestępcy. Całą sprawę morderstwa władze obozowe przekazały do Berlina. Zanim nadeszła odpowiedź, zatrzymani kapo, mimo że mieli skute ręce i nogi, zaatakowali jednego dnia blokowego Vogla. Mieli do wyrównania jakieś porachunki osobiste i widocznie zdecydowali, że wybiła odpowiednia ku temu godzina. Z tej opresji Vogel wyszedł jednak cało, a jego zemsta była wyrafinowana i okrutna. Upozorował napad na siebie i zabił jednego z "podopiecznych", Lagerältestera Ebnera. Tak więc nadejścia wyroku z Berlina doczekało tylko czterech, i ci zostali po kolei powieszzeni na szubienicy na placu apelowym. Wszyscy więźniowie musieli asystować przy wykonywaniu wyroku.

Deski do stolarni pobieraliśmy ze składu na wolnym powietrzu, na podstawie asygnaty, którą otrzymywał Zdzych Lewandowski. Leżały na terenie zadrutowanym, na który wchodziło się przez wąską furtkę. Byłem etatowym "pobieraczem" desek, Zdzych dobierał mi tylko każdorazowo partnera. Na okazję pobierania materiału czekał zawsze nasz Jugosłowianin, który nieodmiennie

prosił mnie o "zorganizowanie" mu deski mahoniowej. Był wspa-
niałym fachowcem, a jego specjalnością były mahoniowe papieros-
nice, inkrustowane fornirem. Oczywiście, robił to na "fuchę"
i przez zaufanego pośrednika zamieniał u esesmanów na chleb.
Brało się po dwie deski, wynosiło za furtkę, kładło na ziemię
przed magazynem i wracało się po następne. Na koniec, przecho-
dząc ostatni raz obok sterty desek mahoniowych, szybko zdejmowa-
liśmy deski z ramion, między te deski wkładaliśmy jedną maho-
niową i wynosiliśmy ze składu już bezpośrednio do stolarni. Zawsze
udawało się nam zaopatrzyć naszego fachowca w upragnioną
deskę. Przed ewakuacją obozu musieliśmy nawet zapas desek maho-
niowych spalić w piecu - beczce.

Jednego dnia otrzymaliśmy z Fronckiem zamówienie na kilka
ram okiennych do głównej - granitowej - bramy obozowej. Po zro-
bieniu tych ram poszedłem razem z Ludą zamontować je w małym
pokoju na piętrze bramy. Wszyscy trzej robotę wykonaliśmy bar-
dzo solidnie, bo okna te trzymają się w bramie do dnia dzisiej-
szego.

Późną jesienią 1944 r. stolarnia otrzymała polecenie zało-
żenia drugiej pary okien w mieszkaniu naszego Bauleitera, mon-
towanych zawsze przed nadejściem zimy. Do tej roboty również
poszedłem z Ludą. W czasie zakładania tych okien powiedziałem:
"Założyć, to jeszcze założymy, ale zdejmować ich już nie bę-
dziemy. Będziemy albo wolni, albo w innym obozie"!

Luda wyśmiał mnie wówczas, był pesymistą. Jednak miałem ra-
cję: zostaliśmy wkrótce wysłani do obozu Flossenbürg-Hersbruck.

Na miesiąc przed ewakuacją obozu mieliśmy w stolarni bardzo
dużo "pilnej" roboty. Robiliśmy coś w rodzaju dzisiejszych dom-
ków campingowych; były w nich drzwi, okna i ławy do siedzenia.
Domki te montowaliśmy następnie w skrzyniach samochodów cięża-
rowych. W takich luksusowych warunkach nasi "nadludzie" mieli
uciekać przed zbliżającym się frontem. Wykonaliśmy kilka takich
domków, o różnych rozmiarach.

Nr archiwum Gross-Rosen 4.6.66.

BYŁEM CIEŚLĄ W KOMANDO ZIMMERLEUTE

Po rannym apelu przed blokiem, ustawialiśmy się do komand roboczych. Przy komendzie: mizen ab, di augen links przechodziliśmy komandami przez bramę obozową do pracy. Za bramą komanda rozchodziły się w różnych kierunkach. Komando w którym pracowałem, miało swoje stałe miejsce na industriehofie czyli na placu budowlanym. Tam zmagazynowane były materiały drzewne jak deski, krawędziaki, wiązary dachowe, płyty barakowe wygospodarowane z budowanych baraków. Na industriehofie mieścił się warsztat stolarski połączony z warsztatem ciesielskim, w którym jedynym sprzętem mechanicznym była piła tarczowa. Komando Zimmerleute liczyło od 16 - 18 więźniów. Nie wszyscy byli cieślami ale to nie przeszkadzało w pracy, bowiem podział był taki, że w większej grupie był zawsze jakiś fachowiec. Kapem komanda był Paul, lecz nie pamiętam jego nazwiska. Był to szczupły średniego wzrostu Niemiec z zielonym trójkątem. W zasadzie nie był zwyrodnialcem, czasami tylko kogoś pobił. Może dlatego, że nie miał możliwości ku temu, a to z tego względu, że przed podziałem robót przekazywał roboty przodowemu cieśli i nie widzieliśmy go aż do powrotu na bloki po obiad. Zdażało się, że kontrolował stanowiska robocze, ale przeważnie przesiadywał na warsztatach. Za niego całą pracę wykonywał cieśla przodowy.

Praca komanda Zimmerleute była specyficzna, bowiem komando nie pracowało w całości na jednym miejscu. W czasie nieobecności kapo, zastępował go Wolf, ryży krępy kryminalista. Nie wiem jakim sposobem przejmował nasze komando i do jakiego komanda należał. W ogóle nigdzie go nie widywałem, jedynie wtedy gdy nie było Paula. Ten Wolf bywał na robotach, ale szczególnie na takich gdzie można było coś ukraść - był zawodowym złodziejem. Podkreślał to przy każdej sposobności i szczycił się tym, że został aresztowany za kradzież. Zostałem jednego razu wysłany z drugim więźniem do SS-kantyny celem odgródnienia konserw od pomieszczeń w którym musieli pracować kucharze. Konserwy poukładane były w skrzyniach w pomieszczeniach piwnicznych. Wolf kontrolował nas kilka razy w ciągu dnia. Oderwał od skrzyni ze środka deskę i wynosił konserwy. Chodził tak długo dopóki nie wyniósł całej skrzynki, a my żyliśmy w ciągłym strachu, że opróżniona skrzynka zostanie zgnieciona przez pełne i będzie na nas. Jak już wspomniałem, podziału pracy, dokonywał przeważnie zamiast Paula starszy cieśla "Stasiek". Był to Stanisław Kołodziejczyk, krępawy w okularach, bardzo inteligentny, wspaniały towarzysz niedoli. Był jednym z pierwszych więźniów którzy dostali się do Gross-Rosen. Służył każdemu radą i pomocą. Drugim ze starszych cieśli był przez wszystkich lubiany choć trochę Antek, niestety nie pamiętam jego nazwiska. Ci dwaj więźniowie tworzyli

atmosferę w komandzie. Poza tym pamiętam jeszcze z naszego komanda Józefa Głowackiego, który zupełnie niepotrzebnie był stale bity. Przebywałem z nim również na bloku 13-tym. Wydawało mu się że jest strasznie mocny, miał wtedy 35 lat. Po miecieku nic nie rozumiał. Obojętne mu było czy to kapo czy blokowy czy jakiś inny funkcyjny Niemiec. Podchodził do niego, a ruchami rąk i mianą dawał do zrozumienia że chciałby z nim walczyć, więc w odpowiedzi zostawał pobity. Płakał nieraz i mówił do mnie: powiedz za co oni mnie tak biją. Perswadowanie nic nie pomogło, aż pewnego dnia na bloku, Kapo z kamieniołomów tak go strasznie uderzył, że mu oko wyszło na wierzch. Przyjaźniłem się z nim. Pochodził z Pabianic. Pamiętam również innych kolegów z komanda jak: Grotel Henryk również z Pabianic, Wrona Stanisław z pod Lwowa, Matera Franciszek z pod Warszawy, Ilek z pod Lwowa.

Komando cieśli było bardzo solidarne, a jak solidarne posłużyć się przykładem. W grudniu 1944 roku w związku z wizytą na bloku Lagerführera miałem złamane żebra. Przechodziłem straszne męki. Na rewir obawiałem się iść. Najgorsze dla mnie było przechodzenie przez bramę. Przy "mitzen ab" łzy mi w oczach stawały z bólu i bałem się potknąć o leżących na ziemi więźniów. Schodząc z pryczy i na pryczę odczuwałem piekielne męki. Z pomocą przyszli mi Stasiek i Antek, a za nimi reszta kolegów z komanda. Starano się by mi pomóc, chowano mnie między staplami z drzewem, a kiedy nadchodziła pora obiadowa i trzeba było wracać do obozu na obiad, dawano mi znać i wyprowadzano z pomiędzy stapli. Opiekowano się mną tak, że nawet kapo Paul nie wiedział, że miałem złamane żebra. Dzięki kolegom z komanda pierwsze dwa tygodnie przeżyłem w ukryciu. Gdy ból stawał się już mniejszy nie godziłem się już na ukrywanie, i mogłem już lżejsze prace wykonywać.

Do komanda Zimmerleute należały wszystkie prawie roboty związane z drewnem, naprawa podłóg na blokach, naprawa łózek na blokach. Odnosnie wykonywania robót na blokach chciałbym przytoczyć pewną wypowiedź jednego z blokowych.

Wysłano mnie razem z innym więźniem na blok nr.7 celem dokonania tu różnych drobnych napraw. Blokowym na tym bloku był Polak Paweł Morgała. Zawsze mnie zaciekawiał, bowiem rzucał się w oczy. Był zawsze elegancko ubrany, chodził w cywilnym ubraniu. Jak więźniowie chodzili w cywilnym ubraniu, to na spodniach mieli czerwoną farbą zrobiony pas na szerokość dużego pędzla, on natomiast chodził latem w białym eleganckim ubraniu, a na spodniach miał czerwoną farbą zrobione paski tak cienutkie że ledwo można je było dojrzeć. Ucieszyłem się że będę go mógł bliżej poznać. Paweł Morgała okazał się człowiekiem dosyć rozmownym opowiadając nam o sobie. Mówił, że pochodził z Chorzowa, był oficerem w 75 p.p. w randze porucznika. Kiedy go aresztowano, wywieziony został do Oświęcimia. Tam otrzymał funkcję Kapo. Chwalił się tym, że gdy jego matka dowiedziała się o tym to mu napisała do obozu list w którym oświadczyła, że się go wyrzeka i nie chce o nim nic słyszeć i przestała do niego pisać. Pamiętam dobrze jak powiedział: "co mi teraz po matce kiedy jestem w obozie. Powinna się cieszyć, że mam się lepiej od innych, sam wiem najlepiej jak mam sobie radzić". Zrozumiałem wtedy, że ten człowiek pójdzie po trupach, by tylko jemu było dobrze.

Łóżek na bloki nie robiliśmy sami, zostawały dostarczane z zewnątrz. Stawiając słupy pod dzwon obozowy, wysłani zostaliśmy

do pobliskiego lasu, by ściąć drzewa ponad dziesięć metrowej długości. Po oczyszczeniu z gałęzi, drzewa musieliśmy przynieść do obozu na plecach. Ciężar to był okropny, każde jedno małe wzniesienie pokonywaliśmy na kolanach pod razami i kopniakami postów, którzy byli z nami. Byliśmy osłabieni, zupa z liści buraczanych nie dodawała sił, a tempo pracy wyniszczało nas z dnia na dzień. Wysyłano nas czasem do miasteczka Gross-Rosen układać drewno na tartaku.

Najwięcej jednak mieliśmy roboty przy budowie baraków, płyty barakowe przychodziły z zewnątrz, były znormalizowane, wysokość płyty barakowej wynosiła 2 metry 8 centymetrów, a szerokość 1 metr 20 cm. Długość baraków wynosiła mniej więcej 30 metrów długości a 10 m. szerokości, jedynie w obozie oświęcimskim były dłuższe, gdzieś około 40 m. na 10 m. Prycze do spania były dwu etażowe o wymiarach mniej więcej 1 m. 60 cm. wysokie a powierzchnia do spania 75 cm. na 1 m. 80 cm. Jednym z mniejszych baraków był barak Blaupunktu, który nie miał więcej jak 20 m. długości. Kompletnie postawiony barak, ze środkowymi ścianami z sufitem, zadaszaniem i nałożoną na suficie watą szklaną musiał być postawiony w ciągu trzech dni a płyt barakowych zużywaliśmy od 110 do 120. W pobliżu bloku 11 i rewiru stawialiśmy barak, przy tym baraku pracowaliśmy dłużej niż zwykle, do późnej nocy, bowiem musieliśmy go postawić w ciągu dwóch dni. Po pierwszym dniu pracy, postanowiliśmy narzędzia schować, by ich nie odnosić. Ponieważ w bloku rewirowym okno do umywalni było otwarte, jeden z nas wskoczył do środka i poukładał narzędzia w studzienkę która była w tym pomieszczeniu. Kiedy na drugi dzień ten sam więzień wskoczył do środka, by nam podać narzędzia, zawołał by ktoś jeszcze wszedł do środka, bo sam nie da rady wyjąć narzędzi. Wskoczyłem do środka i zobaczyłem, że studzienka była zawalona trupami. Widocznie w nocy poumierali i poskładano ich w umywalni. Musieliśmy ich poprzekładać by dojść do narzędzi.

W miesiącu lipcu i sierpniu 1944 r. zostaliśmy wraz z Materą Franciszką oddelegowani do komanda murarskiego. Budowaliśmy przy miasteczku Gross-Rosen domki dwu rodzinne. Komando to z dwoma dekarzami i dwoma cieślami liczyło 20 ludzi. O ile dobrze pamiętam domków było 18. Domki 10x10 metrów musieliśmy postawić w ciągu 2 miesięcy. Obiady nam dowożono. Była to praca nadludzka. Piłę tarczową nam dostarczono. Musieliśmy w ciągu dwóch dni wykonać 22 więzary dachowe, które wchodziły na jeden domek ustawić je na murze, podbić sufit i wykonać właz na strych. Przybijanie łat pod dachówkę i założenie dachówki należało do dekarzy. Wiazary które robiliśmy miały 10 m. szerokości i 7 m. wysokie. Nadludzkiego trzeba było wysiłku by tak ciężkie wiazary wciągnąć do góry ustawić i podbić wiatrownice. Murarze pomogli nam tylko donieść je pod budynek, a resztę musieliśmy zrobić we dwóch. Jak ciężka była nasza praca uznał nawet Bauführer SS, który miał nadzór nad budową. Kiedy ostatniego dnia ustawieni byliśmy by odmaszerować do obozu, podszedł do nas, wskazał na mnie palcem i powiedział "du zimerman kom". Zcierpła na mnie skóra ze strachu, poszedłem za nim, wprowadził mnie do jednego z domków. Byłem przekonany, że coś nie jest w porządku i czeka mnie lanie. Zdziwiłem się ogromnie, kiedy odezwał się do mnie po polsku mówiąc skąd jesteś i gdzie się uczyłeś, kiedy mu odpowiedziałem powiedział dziwujesz się że mówię po polsku, ale jestem z Hajduk uczyniono mnie odpowiedzialnym za tę budowę,

obserwowałem wasz wysiłek i jestem pełen uznania. Podał mi rękę i powiedział "a teraz idź". Byłem zaskoczony. Coś podobnego mnie jeszcze w obozie nie spotkało. Postawione przez nas domki były jeszcze bez okien i drzwi. Wykańczali je chyba cywile.

Po powrocie do obozu postawiliśmy jeden barak na terenie baraków esesmańskich, jakieś 100 metrów od bramy głównej, po prawej stronie jak się wychodziło z obozu. Był to krwawy barak. Fundament wystawał jakieś 40 cm nad poziom, posadzka miała być betonowa, należało najpierw wypełnić fundament kamieniami. Do kamieniołomów prowadziły szerokie schody kamienne, tymi schodami komando z kamieniołomów nosiło kamienie na plecach. Więźniowie biegiem podlatywali pod barak i zrzucali kamień z ramion i biegiem po następny. Straszne rzeczy się działy. Gdy ktoś osłabł, obalał się na schodach, a kamień upuszczony przez niego skacząc po schodach leciał na dół zwalając z nóg osłabionych więźniów. Do tego baraku we wrześniu przywieziono transport z Warszawy, kobiety, dzieci i mężczyzn wyładowano razem.

Jesienią 1944 roku na gwałt zaczęliśmy stawiać baraki w obozie "oświęcimskim". W czasie kiedy pracowałem przy domkach obóz oświęcimski ogrodzono i rozpoczęto stawianie baraków. Ciężka tam była praca w błocie po kolana. Nie dokończyliśmy obozu, gdyż transporty poczęły z Oświęcimia nadchodzić. Przerwaliliśmy pracę, a ludzi ładowano do niewykończonych baraków. Na końcu lagerstrasy postawiono bramę do tego obozu i nie wolno tam było wchodzić. Praca w komandzie zaczynała się rozluźniać, czuć było bliski koniec. Nr. archiwum. Gross-Rosen 4.6.67.